Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Po czarnej stopie

Fot. Z. Biedrzycki.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 42 (646).

17 PAŹDZIERNIKA 1931 R.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

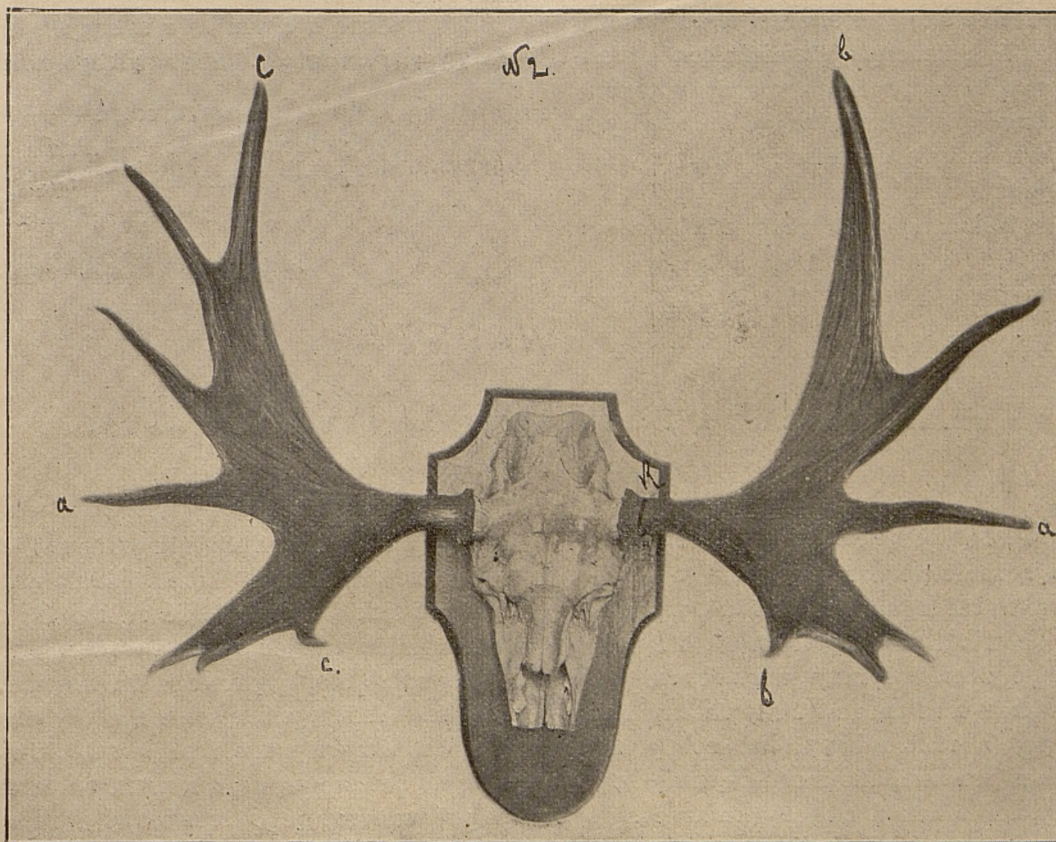
Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".



Łopaty łosia ubitego podczas tegorocznej rui przez Karola ks. Radziwiłła. (Patrz art. na str. 847).
Rozpiętość (od a do a) 104 cent., długość łopaty (od b do b) 75 cent.,
długość łopaty (od c do c) 80 cent., grubość roga (k) 17 cent.,
rozpiętość górna (od b do c) 73,5 cent. waga rogów z czaszką 9 klg. 20 deko.

OD REDAKCJI.

Kult łowiectwa, nawet wśród ludów pierwotnych, łączył się zawsze z pojęciami tej lub innej wiary.

W naszych, dzisiejszych warunkach wszystkich myśliwych świata chrześcijańskiego według wyznawanej wiary jednoczy wyobrażenie świętego, któremu ludzkość chciała przypisać patronowanie dzieciom pogańskiej Diany.

Tym świętym jest św. Hubert.

Dzień 3-go listopada jest świętem wszystkich myśliwych i wszyscy też powinni uczcić tę rocznicę w sposób niecodzienny, a dla ugruntowania swych myśliwskich wyznań pożyteczny.

Niech chociaż w tym dniu, w dniu Patrona uciech i korzyści łowieckich obudzą się serca i umysły tętniące niestety, i jedynie chęcią zaspokojenia prastarych instynktów człowieka - łowcy.

Dźwigamy się z wielkim trudem ku lepszemu, ale nie zaniedbujemy okazji wykorzystania podnioślejszych momentów do uzyskania wyższego szczebla kultury łowieckiej, o której się wszędzie tyle pisze i tyle mówi.

Niech w tym dniu uroczystym dla każdego, w kim bije serce polaka - chrześcijanina, zabłyśnie bezwzględna potrzeba wchłaniania strawy w postaci słowa pisanego.

Niepodobna jest żyć tylko własnemi myślami, a doświadczenie jednostek jest znikome w porównaniu z obserwacjami tysięcy.

Z tego tylko względu, kto chce przy dzisiejszym postępie nie cofać się — musi czytać.

„Łowiec Polski" — przez niejednych jest wyczekiwany co tydzień, jakby jakaś wieść szczęśliwa lub radosna; większość jednak strzelających nie dba o to wszystko, co dzięki prasie i organizacjom łowieckim zostało przeprowadzone, zdobyte i ugruntowane.

Pamiętajmy, że dopiero z utratą twórczej i wytycznej myśli oceniamy zwykle jej znaczenie. Pamiętajmy, że „Łowiec Polski" jest własnością ogółu, a nie jednostek i że ogół polskich myśliwych winien poczuwać się do obowiązku współpracy w wysiłkach społecznych.

Uderzmy się w piersi, powiedzmy sobie: „mea culpa" i od tej daty zajmijmy odpowiednie miejsce w długim, przeogromnym i prastarym szeregu braci myśliwskiej.

Kto może, kto umie więcej od innych, niech poświęci swą pracę dla tych, którzy nie mogą, a trochę i nie chcą podążać za przodownikami.

Stowarzyszenia myśliwskie winny w tym dniu pamiętać o łączności nietylko z ciasnem gronem najbliższych kolegów, ale na wszystkich, bez wyjątku, cięży obowiązek jednoczenia się we wspólnej a szlachetnej myśli.

Nie wszyscy przecież stoją na uboczu, wszak mamy silną, wspólną organizację, pamiętającą stale o bolączkach myśliwskich i pracującą nieraz w warunkach nader niekorzystnych, dla ogólnego dobra i tych zrzeszonych i tych, którzy do zrzeszenia wcześniej lub później przyjdą.

Obowiązkiem uświadomionych jest uświadamiać innych.

Hasło to niech posłuży za wytyczną do skooptowania w dniu naszego Patrona jaknajwiększej liczby tych Jego wyznawców, którzy mogą być mocnem ogniwem świadomego swych poczynań, nieprzerwanego łańcucha organizacyj łowieckich.

Dla własnego dobra, dla własnych korzyści pamiętajmy o wskazaniach największego naszego wieszcza:

„A gdzie się serca palą —
Cyrklem uniesień — Duch
Dobro powszechne — skalą,
Jedność — większa od dwuch" —

CZEŚĆ ŚWIĘTEMU HUBERTOWI

DEMOKRATYZACJA ŁOWIECTWA.

Dokończenie. (Zob. Nr. 41).

Napisałem wyżej, że „przy obecnym poziomie naszych pojęć o gospodarstwie w ogólności, a gospodarstwie łowieckiem w szczególności" można wyraźnie określić granicę demokratyzacji polowania, przyczem pozwoliłem sobie podkreślić wyrazy, które obecnie ująłem w cudzysłów. Bo—o co chodzi? Przy obecnym poziomie naszych pojęć rozumujemy bardzo prosto: 1) tereny łowieckie (łowiska) nie mogą się zwiększyć, chyba że nastąpi kataklizm i miljony hektarów nowych lądów wynurzą się z otchłani oceanów; 2) jeżeli nie liczyć na kataklizmy, to należy drogą logicznego rozumowania oczekiwać raczej kurczenia się naszych łowisk, co już dziś obserwujemy, a co będzie stale się zwiększało skutkiem przyrostu ludności, rozwoju miast, parcelacji majątków, wyrębu lasów, osuszania błot, regulacji rzek i t. p. i t. p., 3) pojemność naszych łowisk będzie przeto ściśle ograniczona i przeto również ograniczona będzie ilość zwierzyny... Tak rozumujemy dzisiaj i rozumujemy zupełnie słusznie. Lecz jak rozumować będziemy za 100 lub więcej lat? Według modnej przed wielu, wielu laty teorji maltuzjańskiej, ludzkości miało grozić wygłodzenie wskutek przeludnienia. Teoretycy rozumowali, jak na swoje czasy, zgoła logicznie, lecz nie mogli przewidzieć nieistniejących wówczas czynników, a mianowicie nie mogli przewidzieć niebywałych postępów techniki i produkcji w 19 i 20 stuleciach. Teorja maltuzjańska załamała się i dziś nie trzeba być ekonomistą, by wiedzieć, że ludzkość przeżywa ciężkie kryzysy gospodarcze nie skutkiem braku środków wyżywienia, lecz skutkiem nadprodukcji tych środków... Gdy piszę te słowa, już widzę uśmiech ironiczny na ustach czytelników, którzy podejrzewają mnie może o wiarę w takie postępy gospodarstwa łowieckiego, że np. za sto lat sztuczne wylęgarnie będą masowo produkowały miljony zajęcy, kuropatw i innej zwierzyny dla zaspokojenia instynktów łowieckich stokrotnie wówczas powiększonej armji myśliwych. Tak naiwny nie jestem i żadnych hipotez nie buduję. Chcę tylko wyraźnie podkreślić, iż nie wolno wyłącznie operować dzisiejszemi pojęciami dla budowania horoskopów na dalekie jutro. Nietylko pradziadom naszym, ale nawet nam w okresie dzieciństwa nie śniło się, że będziemy podróżowali samolotami, lub słuchali koncertu przez radjo w głuchej wsi litewskiej. Podobnie — nie możemy arbitralnie twierdzić, iż stosunki łowieckie za sto lat ukształtują się według dzisiejszego stanu naszej wiedzy. Nie buduję bynajmniej utopijnych hipotez, niemniej jednak wierzę, że w miarę przenikania kultury łowieckiej w najszersze warstwy społeczeństwa, łowiectwo nasze potrafi zawsze wylać się w nowe formy najbardziej odpowiadające jego rozwojowi i że zagłada łowiectwa, która, zdaniem pesymistów, musi nastąpić w dalszej przyszłości, nie jest taką nieuniknioną koniecznością, jak to się według dzisiejszych pojęć naszych wydawać nam może.

Muszę w tem miejscu zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie. Powiedziałem, że „demokratyzacja polowania" jest w dobie obecnej nie do pomyślenia, gdyż ilość myśliwych polujących winna być zawsze — w formie tego lub innego maksimum — dostosowana do ilości zwierzyny. Mówiąc następnie, że wierzę, iż łowiectwu naszemu nie grozi wyjałowienie z biegiem czasu, gdyż potrafi ono znaleźć zawsze najodpowiedniejsze formy rozwojowe, — bynajmniej nie zaprzeczyłem własnej tezie. Dopóki te nowe formy rozwojowe nie nastąpią, o „demokratyzacji polowania" nie może być mowy.

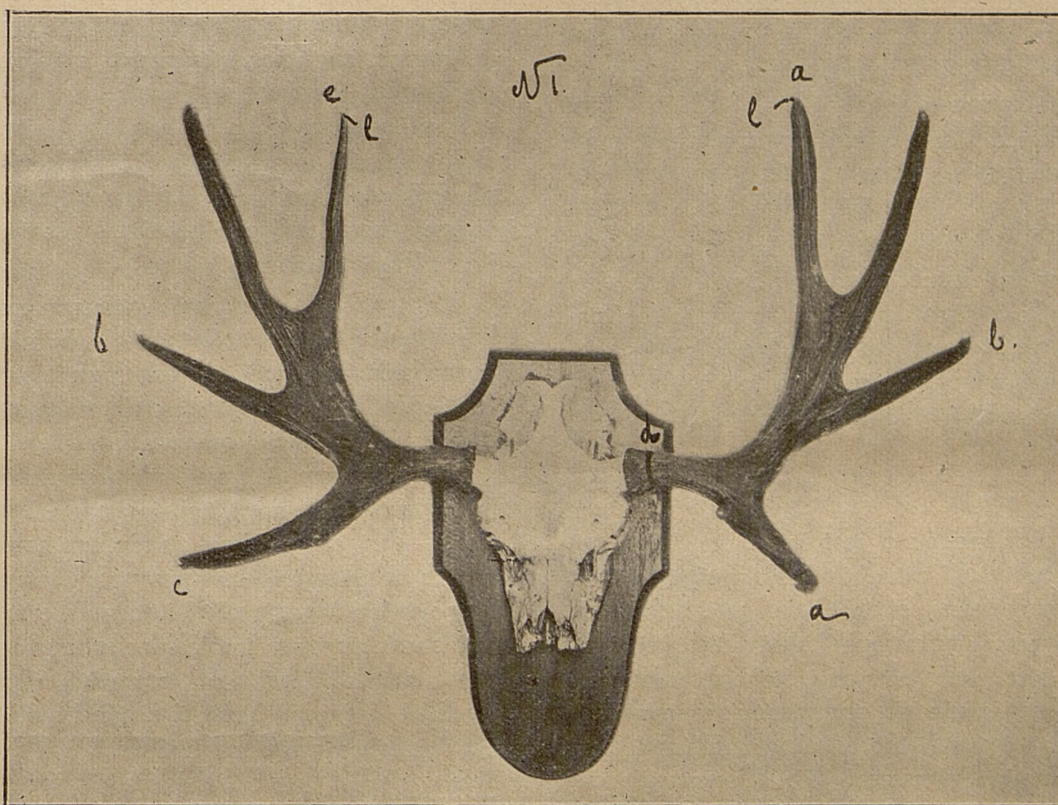
Z tego, co wyżej powiedziałem, wynika, iż jedyną cechą ujemną demokratyzacji łowiectwa upatruję w zbyt daleko posuniętej „demokratyzacji polowania". Lecz tutaj tamę dla takiej demokratyzacji stanowić będą przepisy prawa. Podobne przepisy już zawiera nasze prawo łowieckie w artykułach 6, 8, 27 i innych. Rzecz inna: — czy przepisy te należy uznać w naszych warunkach za dostateczne i czy nie czas pomyśleć o ich modyfikacji?

A cechy dodatnie demokratyzacji łowiectwa? Te są, zdaniem mojem, poprostu olbrzymie. Zapoznawanie tych cech dodatnich byłoby wynikiem chyba kompletnej ignorancji współczesnej struktury społeczeństw!

Demokratyzacja łowiectwa, pojęta jako rozpowszechnienie wśród najszerszego ogółu, idei pracy społeczno-łowieckiej, jako spopularyzowanie we wszystkich warstwach ludności, haseł współczesnego łowie-

ctwa — tak pojęta demokratyzacja łowiectwa jest w istocie swej *prapagandą łowiecką*, o której już kilkakrotnie pisałem na łamach „Łowca Polskiego" (Nr. Nr. 44 z r. 1930 i 28 z r. 1931). By nie nudzić czytelników przypominaniem dawnych swoich wywodów, powiem dziś tylko, że idealnym wynikiem racjonalnej i skutecznej propagandy łowieckiej będzie taki stan rzeczy, gdy nietylko pisarz łowiecki lub hodowca-myśliwy, lecz nawet poczciwy kmiotek-raubszyc, zastawiający dziś wnyki na zające, przejmie się pewnikiem, iż każdy zając zabity „nie w porę", lub złapany w pętlę, lub zabity na cudzym terenie, że każde zniszczone jajko kuropatwie, że każdy zadławiony przez kundla kłapacz kaczy stanowi szkodę w gospodarstwie społecznem, a eo ipso — szkodę w gospodarstwie każdego członka tego społeczeństwa. Niechże ko nie ugrzęznąć w szablonie, w biurokratyzmie, w pomysłach etatystycznych...

Na marginesie pomysłów etatystycznych zaznaczyć muszę, że z wielkim żalem czytałem skądinąd ciekawą i żywo napisaną, a już wyżej cytowaną przezemnie pracę Cz. Mańkowskiego „O uporządkowaniu stosunków łowieckich w Polsce" („Łowiec Polski" Nr. 34 — 38). Autor, dając na wstępie nader trafną charakterystykę naszej ustawy łowieckiej, przechodzi następnie do wyliczenia przeważnie dobrze wszystkim znanych bolączek życia łowieckiego w Polsce i stara się wynaleźć lekarstwo skuteczne na bolączki. Słusznie zaznaczając, że akcja walki z kłusownictwem musi być prewencyjna, (ja prewencję rozumiem jako ogół środków wychowawczo-propagandowych), autor bezwiednie sam sobie przeczy, zrzucając cały ciężar tej



Łopaty łosia ubitego podczas tegorocznej rui przez Karola ks. Radziwiłła. (Patrz art. na str. 847).
Rozpiętość (od b do b) 95,5 cent., długość łopat (od a do a) 72 cent., długość łopat (od c do c) 73 cent., grubość roga (d) 16,4 cent., rozpiętość górna (od e do e) 62,5 cent, waga rogów 8 kilogramów.

się przeto, łowiectwo demokratyzuje jaknajrychlej w tem znaczeniu, by jego elementarne zasady zbłądziły zarówno „pod strzechy", jak i pod pałace „sterczące dumnie"... snobów i nieuków t. zw. inteligencji! O środkach i sposobach tak rozumianej demokratyzacji pisać dziś nie będę, bo już często o nich rozwodziłem się, a jeszcze w r. 1903 pisał o tem ś. p. Stanisław Rewieński (patrz art. mój w „Łowcu Polskim" Nr. 28 z r. 1931). Powiem tylko, że podobnie, jak w r. 1871 wojnę franko - pruską wygrał nauczyciel wiejski, tak obecnie w Polsce wielką wojnę o rozwój łowiecki mogłoby wygrać nauczycielstwo szkół powszechnych przez wpływ na dziatwę wiejską i starszych włościan w kierunku okiełznania instynktów niszczycielskich. Tu — pole dla energji i inicjatywy naszych organizacyj społeczno-łowieckich! Byle tylprewencji na biurokratyczną machinę administracyjnopolicyjną. Jeno mimochodem wspominając o funkcjach delegatów łowieckich, autor wymaga, by i dokładną kontrolę oraz ewidencję (jeszcze jedną administracyjną „ewidencję") handlu broni i handlu zwierzyną oraz skórkami, i akcją kontrolną wydawania kart łowieckich, i pieczę nad osobami wałęsającemi się po rewirze i dużo, dużo innych czynności wykonywali prawie wyłącznie urzędnicy i policjanci. Czyżby autor nie wiedział, że kontrolę nad sprzedażą broni i amunicji mamy w Polsce oddawna, ale — na papierze, bo — co innego papier, a co innego — wykonanie w życiu, papierowego nakazu? Czyżby autor naprawdę przypuszczał, że nasze urzędy i policja mają tylko ustawę łowiecką do wykonania i że „chodzi jedynie o *trochę* dobrej woli u odnośnych funkcjonar-

juszów", a nie o rzeczy czasami wręcz niewykonalne, zwłaszcza wobec słusznej tendencji stałego zmniejszenia ilości policji? Pocóż tedy utworzono Polski Zw. St. Łow. i jego delegatów? Po co ten cały kram społeczno-łowiecki, skoro wszystko mają robić biedne, posądzane o zakusy etatystyczne „nianki do wszystkiego" — policja i administracja? Jaka szkoda, że Sz. Autor nie przeczytał, czy też przeoczył, czy może zignorował artykuły moje o „etatyzmie i liberalizmie" w łowiectwie („Łowiec Polski" Nr. 39 z r. 1928, Nr. 27 z r. 1929, Nr. 10, 23, 37, 44 z r. 1930), gdyż naprawdę radbym był, by, dając panaceum na bolączki łowieckie, zechciał przedtem rozprawić się z moimi argumentami.

* * *

Streszczam swoje wywody i odpowiadam na poprzednio postawione pytania:

1) proces „demokratyzacji polowania" powinien być hamowany przez ustawodawstwo państwowe w interesie publicznym i stale kontrolowany przez organizację społeczno-łowiecką (P. Z. S. Ł.), która musi władzom naszym składać odpowiednie wnioski w miarę zmian zachodzących w warunkach gospodarki łowieckiej;

2) proces „demokratyzacji łowiectwa", pojętej jako popularyzacja haseł ideowego łowiectwa, jest objawem pomyślnym i pożądanym i powinien być popierany pod warunkiem rozumnej kontroli sprawowanej przez wspomnianą organizację społeczno-łowiecką przy poparciu czynników państwowych.

* * *

Demokratyzacja łowiectwa jest tematem, o którym możnaby pisać tomy. Niemniej jednak pragnę na zakończenie poruszyć jedną kwestję ciekawą, na marginesie „demokratyzacji polowania". Mówiłem już wielokrotnie, iż bezgraniczna demokratyzacja polowania jest w dobie obecnej nie do pomyślenia i że należy proces jej hamować w zależności od warunków gospodarstwa łowieckiego. Mimowoli jednak nasuwają się tu pewne refleksje. Jestem pełen podziwu i uznania dla pracy właścicieli większych obszarów, którzy, będąc myśliwymi-hodowcami, nie szczędzą trudów i kosztów dla podniesienia zwierzostanów w swych łowiskach. Lecz obok nich obserwujemy, niestety, dość często obszarników, niemyśliwych, którzy nie rozumiejąc ekonomicznego znaczenia łowiectwa lub nie przeczuwając jego ekonomicznej przyszłości, nie dbają wcale lub dbają za mało o gospodarkę łowiecką swych obszarów (dzieje się to zwłaszcza na Wschodzie Polski). Znam na Wschodzie Polski przykłady, gdzie obok niedużego majątku, w którym gospodarka łowiecka dzięki trosce właściciela, stoi na bardzo wysokim, prawie zachodnim poziomie istnieją rozległe obszary prywatne wyśmienite pod względem warunków naturalnych, lecz całkiem zwierzyny pozbawione, a to wskutek smutnej okoliczności, że właściciel tych wielkich obszarów nie interesuje się zupełnie łowiectwem. Daleki będąc od myśli podważania zasady, że „polowanie związane jest z własnością gruntu" (art. 4 prawa łow.), zastanawiam się mimowoli, czy dobrze się dzieje, iż w dobie lansowania pojęcia łowiectwa jako dobra społecznego, dość liczne jednostki, które powinny świecić ogółowi przykładem, zaniedbują u siebie łowiectwo w sposób horendalny? Czy stan taki nie wygląda trochę na podwójną moralność w stosunku do „maluczkich", których chętnie zaliczamy w czambuł do raubszyców i wnykarzy, a których wszak pragniemy wychowywać w duchu prawdziwego łowiectwa? Czy — przeto — nie należałoby pomyśleć o takiem lub innem *zmuszeniu* podobnych jednostek do wydzierżawienia polowania osobom lub organizacjom dającym gwarancję racjonalnej gospodarki łowieckiej?... Powtarzam, że daleki jestem od myśli socjalizacji łowiectwa, lecz mniemam, że pewne kroki zaradcze są konieczne.

Stwierdzić tu muszę, z głębokim smutkiem, iż zarzut zaniedbania gospodarki łowieckiej cięży w pewnych wypadkach i na władzach państwowo-leśnych, których rewiry łowieckie częstokroć (mówię o Wschodzie Polski) są pozbawione zwierzyny i tą groźną pustką odbijają jaskrawo od sąsiadujących z nimi, a dobrze zagospodarowanych rewirów prywatnych. Sprawę tę poruszyłem jeszcze w r. 1929 w artykule „O politykę łowiecką w lasach państwowych" („Łow. Pol." Nr. 27 z r. 1929). Artykuł mój wówczas nie obudził większego echa, zwłaszcza zaś — nie wywołał żadnej enuncjacji oficjalnej. A szkoda — bo sprawa jest pilna i ważna.

W powyższym artykule poruszyłem mimochodem kwestję, czy dla łowiectwa nie byłoby najlepiej, by gospodarka łowiecka (w lasach państwowych w pierwszym rzędzie) poczęła stopniowo przechodzić do rąk solidnych zrzeszeń łowieckich, przyczem pod „solidnością" miałem na myśli nie tyle zasoby materjalne, ile gwarancję racjonalnej gospodarki. Mam przekonanie — i w tem miejscu pozwalam sobie postawić już pewne horoskopy — że przyszłość naszego łowiectwa leży w stopniowem zagarnianiu dzierżaw myśliwskich przez towarzystwa łowieckie terenowe (które nazwałbym w odróżnieniu od zrzeszeń ideowo-bezterenowych — „kooperatywami łowieckiemi"). Proces taki już istnieje skutkiem właśnie demokratyzacji społeczeństwa i ja mu wróżę dobrą przyszłość. Gdy proces ten osiągnie poziom należyty, łowiectwo nasze tylko zyska, albowiem:

1) gospodarka łowiecka, prowadzona przez towarzystwa łowieckie, uniknie szczęśliwie wszelkich błędów i wad etatyzmu; 2) będzie miała wyższość nad gospodarką prywatną jednostek, gdyż odbywać się będzie pod nadzorem Państwa i pod kontrolą centralnej organizacji łowieckiej (P. Z. S. Ł.); 3) będzie prowadzona w duchu *prawdziwej* demokratyzacji i będzie stanowiła częściowe antidotum na „plutokrację łowiecką", która, jak wykazałem na przykładzie, nie zawsze jest dla łowiectwa korzystna. Zaznaczam jednak wyraźnie, że ten ostatni rodzaj demokratyzacji łowiectwa rozumiem jako proces ewolucyjny, t. j. wykluczający wszelki przymus. Przymus musiałby natomiast być stosowany względem wyraźnych *szkodników łowieckich*. Pod ich mianem rozumiem zarówno ordynarnych raubszyców, jak i „plutokratów", których bezczynność łowiecka gorsza jest czasem od najgorszego raubszycostwa.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

WAB ŁOSI W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ W 1931 ROKU.

Dn. 26 sierpnia wysłałem rozkaz do Chotomelskiego i Olmańskiego nadleśnictw treści następującej: „Wyznaczeni gajowi i podleśniczowie mają natychmiast zająć obserwacyjne punkty dla pilnowania łosi". Oznacza to, że od tego dnia 37 osób straży leśnej przenosi się ze swoich mieszkań do puszczy, gdzie w szałasach lub budanach pozostaną cały miesiąc.

Co rano i wieczór gajowi rozchodzą się do pewnych punktów przezemnie wyznaczonych, skąd słuchają wabu łosi. Tymi punktami zazwyczaj są stogi siana lub drzewa, na których siedzą. Tym sposobem gajowi często mają dalszy widok i łoś może blisko przechodzić, nie zwietrzywszy ich, a oni mogą łosia widzieć dobrze.

Osobiście dla mnie czas wabu łosi jest kontrolą stanu łosi i radością, iż wkrótce spotkam się z tym królem puszczy.

W pierwszych dniach września uporawszy się ze swymi interesami, wyjeżdżam i ja do puszczy.

Idąc kładkami, spotykam w różnych punktach gajowych z raportami, „łosie się już wabią, jest ich dużo więcej niż w roku zeszłym. Już sporo łosi widzieli naocznie, niektóre ogromne rogale".

W dobrym więc nastroju dopływam do gajówki „Hołowa", gdzie wyznaczam swą główną kwaterę. „Hołowa" leży nad rzeką Lwą i jest punktem środkowym wszystkich ostępów.

W tym roku pogoda jedynie nie dopisywała. Mało było tych pięknych, cichych ranków i wieczorów.

Przesiedziałem w puszczy 10 dni. Widziałem 16 łosi, z których 12 zwabiono mi na strzał. Zabiłem z tego dwa łosie, obydwa bardzo piękne. Jednego łosia zabiłem po 7/7 pasynków, drugiego po 5 5 pasynków.

Miałem też ciekawe zdarzenie. Któregoś wieczoru w jednym z ostępów zwabiono mi cztery różne łosie, wszystkie mogłem strzelać. Wystarcza to chyba, aby wykazać, że stan ich musi być dobry.

Dziś powróciwszy do Mańkiewicz po zestawieniu wszystkich raportów i omówieniu szczegółowem ze strażą leśną, dochodzę do przekonania, iż łosi w ordynacji Dawidgródeckiej wiadomych nam, gdyż nie wszędzie dojść można było, jest w tym roku do 140 sztuk. Rójek czyli łosz w tym roku odhodowanych, ostrożnie licząc, będzie od 40 do 45 sztuk. Mam więc nadzieję, iż na rok przyszły stan liczebny łosi dojdzie do 200 sztuk. Jest to rezultat mojej dziesięcioletniej, ciężkiej walki o zachowanie tego zwierza, który o mało co przestałby zupełnie w Polsce egzystować.

Już wab się skończył, byłoby nadzwyczaj ciekawem, aby na łamach naszego myśliwskiego pisma i inni hodowcy dali nam choćby krótką wzmiankę co do stanu łosi i przebiegu tegorocznego wabu.

Mam tu na myśli majątek Rzepichowszczyznę hr. Jarosława Potockiego, tereny Poleskiego Towarzystwa Łowieckiego, tereny hr. Jundziłła i inne.

KAROL RADZIWIŁŁ.

Mańkiewicze. Dnia 1.X 1931 roku.



MISTRZOSTWO ŚWIATA.

W dn. 29 sierpnia roku bieżącego, na Międzynarodowych Zawodach Strzeleckich we Lwowie, zespół Polski w składzie: kapitan Stanisław Lewiński, por. Kazimierz Zaleski, p. Eustachy Barański i niżej podpisany — zdobył Mistrzostwo Świata w strzelaniu do jelenia (strzał pojedynczy), bijąc o 3 punkty zespół Norwegji.

Fakt ten, bardzo doniosły dla naszego sportu wogóle, ponieważ jest to jedyne zespołowe Mistrzostwo Świata, posiadane przez Polskę w jakimkolwiek sporcie z wyjątkiem hippicznego, a radosny i dla naszych myśliwych, ponieważ chodziło o strzelanie myśliwskie, nie został dotąd, niestety, dostatecznie omówiony w naszej prasie fachowej. Ponieważ miałem wysoki zaszczyt wchodzić w skład tego zespołu jako strzelec, a ponadto wziąłem pewien udział, — pomagając p. inżynierowi Ebenbergerowi z Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, w jego organizacji, pozwolę sobie nieco szerzej omówić to zwycięstwo.

Warunki zawodów były parokrotnie obszernie przedstawione na łamach „Łowca Polskiego", to też do nich powracać nie będę. Do listy tych warunków należy również zaliczyć i kwestję budowy samej strzelnicy oraz jej funkcjonowanie; wszystkie te urządzenia były zupełnie wzorowe, aczkolwiek nasi goście zagraniczni podkreślali, że cel jest wyjątkowo trud-

ny, ze względu na to, iż jeleń był naturalnego, — rudawo-szarego koloru, a posuwał się po tle z piasku i zwiędłych liści, z którem się zlewał w wysokim stopniu. Trzeba jednak przyznać, iż przez to samo wytwarzały się warunki optyczne podobne do rzeczywistych.

Zespół Polski został wybrany na podstawie eliminacji na Narodowych Zawodach Strzeleckich, odbytych mniej więcej na miesiąc przed Międzynarodowymi i na skutek pewnych przeróbek strzelnicy, miał możność trenowania się przed zawodami w ciągu najwyżej 5-ciu dni. To też nie mając ścisłych danych w swojem rozporządzeniu, oceniam, iż żaden ze strzelców zespołu nie wystrzelił więcej jak 250 strzałów przez cały czas treningu.

Uzbrojenie zespołu było dość różnorodne i naogół nieodpowiednie. Kapitan Lewiński posługiwał się sztucerem Mauser'a kal. 8 mm. do amunicji wojskowej, zaopatrzonym w przeziernik Lyman'a. Sztucer ten, niezbyt precyzyjny, za lekki, ze źle zbudowaną kolbą, dawał ogromny odrzut i męczył strzelającego, w wysokim stopniu. P. Eustachy Barański używał nowego sztucera Winchester kal. 270 o zamku ryglowym i otwartych przyrządach celowniczych (kulka i szczerbina w kształcie U); sztucer ten z powodu swej wysokiej szybkości początkowej — około 1000 m/sek. i dość znacznej wagi, był może najodpowiedniejszą bronią ze wszystkich, przez nas posiadanych, natomiast ogromna cena naboi oczywiście nie zachęcała p. Barańskiego do zbyt obszernego treningu. Por Zaleski i ja trenowaliśmy się początkowo z mojego myśliwskiego mausera 8 mm. do naboi wojskowych, wkrótce jednak spostrzegliśmy się, iż broń ta jest o wiele za lekka dla zapewnienia należytej równowagi i dostatecznie płynnego prowadzenia w czasie strzału, to też wygrzebaliśmy jakiegoś starego mausera wojskowego, o wielkiej wadze i długiej lufie; zamiast muszki trójkątnej zaopatrzyliśmy go w gruby, prostokątny słupek, szczerbinę wycięliśmy odpowiednią, i w ten sposób stworzyliśmy sobie broń może wysoce niemyśliwską, ale odpowiadającą całkowicie warunkom strzelania, i, jak się zresztą później okazało, bardzo podobną do wszystkich sztucerów „specjalnych", jakie poprzywozili doświadczeni zawodnicy obcy.

Do konkurencji zespołowej zgłosiła się jedynie Norwegja, natomiast jako strzelcy indywidualni występowali finlandczycy oraz przedstawiciel i delegat Stanów Zjednoczonych na Międzynarodowy Kongres Strzelecki — major John Boles, nietylko wybitny strzelec, ale także i znany myśliwy, który odbył kilka ekspedycyj łowieckich na Borneo, Sumatrę i Filipiny.

Fakt, iż tylko zespół norweski stanowił dla Polski konkurencję, nie może w niczem zmniejszać wielkości odniesionego zwycięstwa, dla tej prostej przyczyny, iż w Norwegji właśnie sport strzelania do ruchomego jelenia jest najbardziej uprawiany, i ten właśnie zespół posiadał od kilkunastu lat pod rząd mistrzostwo bądź to świata, bądź to państw skandynawskich w zawodach tego typu. W jego szeregach występował między innymi major Otto Olsen, kilkakrotny zdobywca indywidualnego mistrzowstwa świata, oraz doktór Harold Natwig, organizator i włściwy twórca tego typu zawodów na forum międzynarodowem

Strzelcy cudzoziemscy wystąpili wszyscy ze sztucerami specjalnie budowanymi dla tej konkurencji. W strzelaniu pojedynczem — były to zasadniczo karabiny powtarzalne, ryglowe, o zamku Mauser'a lub Krag-Jörgensena (wojskowy, norweski), ale posługujący się nabojami specjalnie elaborowanymi, o bardzo lekkiej kuli i szybkości początkowej, przekraczającej 1000 m. na sek. Dzięki temu oczywiście strzelanie stawało się znacznie łatwiejszem, gdyż musieli „zakładać" bardzo niewiele przed punkt, do którego chcieli trafić, w każdym razie mogli stawiać muszkę wewnątrz jelenia na jego łopatce, nie zaś tak, jak strzelcy polscy, naokoło 10-ciu cm. przed łopatką,—celując gdzieś w powietrze bez realnego punktu oparcia. Karabiny te miały wagę znacznie zwiększoną, dzięki odpowiedniemu obciążeniu ołowiem lub poprostu wkręceniu ciężkiej lufy; kolby — robione na miarę, o wysokim grzebieniu i ostrej szyjce pistoletowej; dzięki wielkiej wadze (4,5 do 5,5, kg.) i lekkim pociskom, odrzut był zupełnie znikomy.

Na specjalne omówienie zasługuje broń, którą posługiwał się major Boles, ponieważ on właśnie zdobył indywidualne Mistrzostwo Świata. W odróżnieniu od wszelkich karabinów „specjalnych" i obstalunkowych, był to najprostszy „fasowany" wojskowy karabin amerykański Springfield kal. 30 (7,62 mm.). Karabin ten ma jednak kolbę bardzo dobrze zbudowaną, niezłą wagę, gdyż 4,2 kg. i odznacza się wielką precyzją, jest to bowiem, na równi z karabinem szwedzkim, najprecyzyjniejszy karabin wojskowy na świecie, ponieważ jego przeciętne rozrzuty mieszczą się w kole o średnicy 5 cm. na 100 m. Ku zdumieniu wszystkich obecnych na zawodach, major Boles posługiwał się amunicją stosunkowo bardzo powolną, a specjalnie elaborowaną dla uzyskania precyzji w strzelaniu do tarcz stałych na 300 m. Zdawałoby się, konieczność wyprzedzania o przeszło metr, winna mu sprawiać duże trudności, gdyż musiałby celować w próżnię przed jeleniem, nie mając absolutnie punktu oparcia dla muszki.

Tymczasem „chytry amerykaniec", jak go określił jeden z polskich zawodników, wynalazł sposób prosty i radykalny dla uzyskania tego właśnie punktu oparcia (rys. Nr. 1). Zaopatrzył on mianowicie ów karabin w przeziernik Lyman'a, który mu pozwalał na wstrzelanie broni w ten sposób, aby *dołować* o tyle, iż celując jeleniowi w nos (ten punkt leżał właśnie na linji pionowej, wyprowadzonej z punktu przed jeleniem, w który musiałby strzelać bez dołowania), miał za każdym razem zupełnie dobre oparcie dla muszki i nie strzelał w próżnię.

Przyrządy celownicze, stosowane przez wszystkich specjalistów tego strzelania, zasługują na podkreślenie. Były to, w każdym poszczególnym wypadku, przezierniki o dużym otworze i cieniutkim pierścieniu obwodowym, przyczem na sztucerach powtarzalnych przezierniki były umieszczone na zamku, jaknajbardziej do tyłu, na sztucerach podwójnych zaś występowały w postaci podnoszonego listka umieszczonego w szynie w jej tylnej części tuż przy zamku. Nie posługiwano się wcale muszkami w kształcie kulki, naogół przyjętemi na broni myśliwskiej, lecz grubymi, prostokątnymi słupkami, które, zdaniem strzelców, znacznie lepiej nadawały się do strzałów

rzutowych i odróżniały się na jednolitem, żółtawem tle.



Rys. 1.


Rys. 2.

Podług programu, zawody w strzelaniu pojedynczem miały się rozpocząć dn. 28 sierpnia. Dnia tego od rana panowała jednak niepogoda, z gwałtownym wiatrem wiejącym od tarczy do strzelca i drobnym deszczem. Ponieważ dwa dni — 28 i 29, były przeznaczone dla tego strzelania, wszyscy strzelcy postanowili zaczekać do dnia następnego, z wyjątkiem czołowego zawodnika norweskiego, p. Olsen'a, który zaryzykował te fatalne warunki, i, strzelając bardzo szybko, osiągnął doskonały, jak na takie okoliczności, wynik 183 punktów na możliwych 250. Nikt więcej dnia tego nie strzelał. Następnego dnia, trzynastu konkurentów — a więc dwa zespoły — polski i norweski oraz kilku strzelców indywidualnych, wstąpiło w szranki. Każdy strzelający miał do dania 50 strzałów pojedyńczych, które podzielono na serje: 20 — 20 — 10. Strzelców uszeregowano podług wylosowanej kolejki, tak, iż każdy musiał odstrzelać najpierw swoich pierwszych 20, następnie cała kolejka strzelała swoją drugą dwudziestkę i wreszcie dziesiątkę. Oczywiście największe zainteresowanie wzbudzał wynik pierwszych dwudziestu strzałów każdego członka zespołu, ponieważ zespołowe Mistrzostwo Świata było obliczane na podstawie wyników osiągniętych przez 4-ch najlepszych zawodników w zespole w owych właśnie, pierwszych dwudziestu strzałach.

Tak się złożyło, iż strzelcy Norwegji mieli już wszyscy pierwszą dwudziestkę ukończoną, kiedy jeszcze jeden strzelec Polski czekał na swoją kolejkę.

W tym momencie, wyniki obu stron przedstawiały się następująco:

Norwegja: Bergersen — 72 punkty.
Olsen — 72 punkty.
Aasnes — 66 punktów.
Stenerson — 65 punktów.
Natwig — 62 punkty (odpada jako najsłabszy).

Tymczasem czterech strzelców polskich miało wyniki następujące:

Polska: Podoski — 70 pkt.
Barański — 69 pkt.
Lewiński — 69 pkt.
Rawicz — 50 pkt. (odpada jako najsłabszy).

Rzecz jasna, iż losy całego zespołu leżały w tej chwili w rękach por. Zaleskiego, który, o ileby tylko jego nerwy wytrzymały, mógł dosyć łatwo, — bo nie przekraczając normy pozostałych 3-ch strzelców zespołu, zdobyć Mistrzostwo na naszą stronę. Ale pięknie mówić „dosyć łatwo" w chwili, gdy chodzi o Mistrzostwo Świata zespołowe i wyniki całego zespołu zależą od spokoju i opanowania jednego strzelca.

Ponieważ pełniłem obowiązki kapitana zespołu, poszedłem wyszukać por. Zaleskiego na jakiejś innej strzelnicy i znając go jako strzelca od lat 10-ciu, a wiedząc, iż posiada to szczęśliwe usposobienie, że poczucie odpowiedzialności za wyniki może go tylko podniecić dodatnio i skłonić do jeszcze większych wysiłków, a nie załamać nerwowo, powiedziałem mu po drodze, jak się sprawa przedstawia.

Stopniowo, na tabeli wyników, które z amatorstwa i nieoficjalnie — po za sędzią na stanowisku, prowadził major Boles, zaczęły rość szanse i punkty zespołu polskiego. Zaleski strzelał przeciętnie, bez wyskoku, bez 5-ek, ale także i bez zer, i już po zakończeniu pierwszych 10-ciu strzałów było widać, że jeden albo 2 punkty rozstrzygną. Po zasygnalizowaniu ostatniego strzału, zanim jeszcze zdołałem zestawić sumę naszych wyników, wszyscy zawodnicy i widzowie zaczęli się tłoczyć dookoła nas z powinszowaniami. Pierwsze Mistrzostwo Świata zespołowe w jakiejkolwiek gałęzi sportu strzeleckiego było zdobyte dla Polski...

Wyniki przedstawiały się następująco: Polska 278 punktów, Norwegja 275.

Strzelanie rozpoczęło się na nowo, tym razem już o wynik 50-ciu strzałów i tytuł indywidualnego Mistrza Świata. Z początkowych seryj było czuć, iż rozegra się ciężka walka między p. Olsen'em a majorem Boles; nie spodziewaliśmy się jednak, iż walka przybierze pozory tak dramatyczne. Do chwili oddania ostatniej serji z 10-ciu strzałów, suma p. Olsen'a — uzyskana poprzedniego dnia, wydawała się wyższą od serji Boles'a. Ten ostatni jednak zakończył wspaniałym wynikiem 40 punktów na możliwych 50 z dziesięciu strzałów, i w ten sposób przekroczył wynik Olsen'a o 3 punkty. Serdeczną i gorącą owację, jaką polski zespół jemu natychmiast sprawił, a wynikającą z wielkiej sympatji wywołanej przez jego doskonałe, spor-

towe zachowanie i dżentelmeństwo w każdym calu, przerwał bardzo przykry i niespodziewany incydent.

Kierownik zespołu norweskiego wniósł protest przeciwko ostatniej serji majora Boles'a, motywując to tem, iż była ona strzelana nie w przepisanej kolejce....

Sprawa faktycznie przedstawiała się w ten sposób, iż przed przerwą obiadową sędzia na stanowisku wywoływał do strzelania drugiej serji wszystkie końcowe numery kolejki, — ci strzelcy byli nieobecni, wezwał więc pierwszych strzelców z 3-ej kolejki, a więc majora Boles, i nie dając im strzelać z powodu przerwy, zawiadomił ich, że mają strzelać natychmiast po obiedzie. Po obiedzie oczywiście strzelcy z drugiej kolejki, którzy byli nieobecni przed przerwą, byli już na miejscu, jednak odłożono ich na później i rozpoczęto strzelanie z tymi, których przed przerwą wywołano. Wszyscy świadkowie zajścia nie mogli się oprzeć bardzo przykremu wrażeniu, iż protest nie został wniesiony z chwilą rozpoczęcia strzelania majora Boles, lecz wtedy, gdy serję swoją — dzięki której pokonał mistrza świata — zakończył, a faktycznie wnoszącym protest był właśnie ów kandydat na Mistrzostwo Świata, którego protest przez solidarność musiał oczywiście poprzeć kapitan norweskiego zespołu.

Strzelanie zostało zakończone danego dnia w warunkach nieprzyjemnych, gdyż wytworzyły się dwa wyraźne obozy — protestujących i stających po stronie majora Boles, i oczekiwano z największem zaciekawieniem rozsądzenia sporu.

Protest był rozpatrywany przez p. Parmentier, generalnego sekretarza Międzynarodowego Związku Strzeleckiego. Trzeba tu podkreślić, iż zreferowanie meritum zajścia przez sędziego prowadzącgo strzelanie, p. starostę Ulma — w sposób nadzwyczajnie ścisły, stanowczy i stawiający odrazu całe zagadnienie na należytej stopie,—dużo wpłynął na przesądzenie sprawy na korzyść majora Boles'a, co nastąpiło ku szczeremu zadowoleniu wszystkich zawodników.

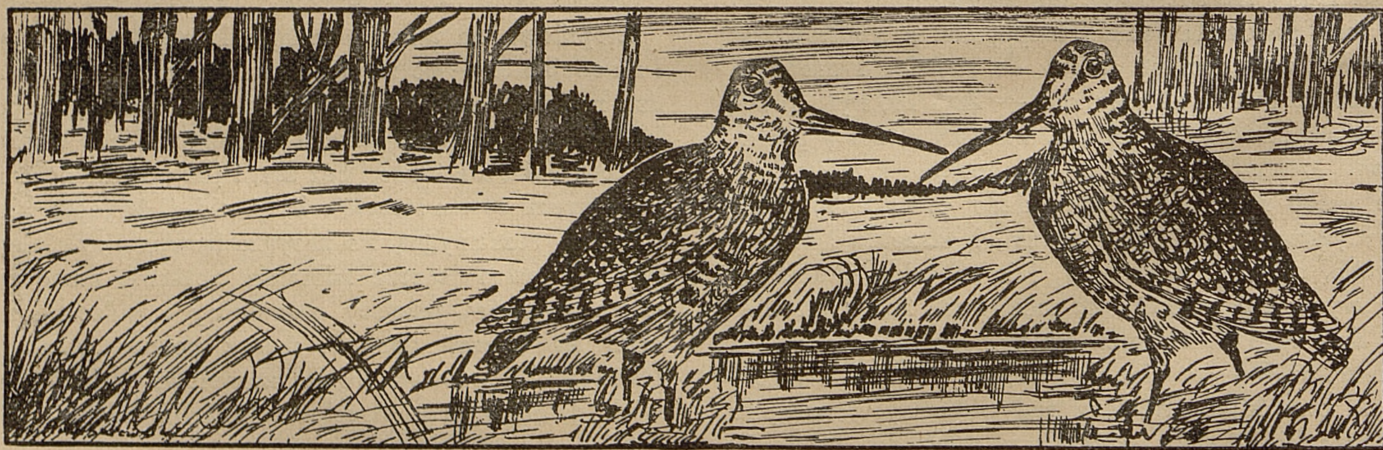
Zawodnicy polscy w klasyfikacji indywidualnej nie zdobyli zbyt wysokich miejsc, jednakże zadowolenie z uzyskania zespołowego mistrzostwa było tak duże, iż napewno nikt z nich nie odczuł najmniejszego żalu z tego powodu.

Tabela wyników strzelania pojedynczego przedstawiała się tedy nstępująco:

Mistrz Świata	John Boles	U.S.A.	186	punktów
2	Olsen	Norwegja	183	"
3	Bergersen	"	178	"
4	Lewiński	Polska	177	"
5	Liuttulla	Finlandja	177	"
6	Podoski	Polska	175	"
7	Natwig	Norwegja	169	"
8	Aasnes	"	168	"
9	Barański	Polska	167	"
10	Zaleski	Polska	166	"
11	Hannelius	Finlandja	163	"
12	Stenerson	Norwegja	153	"
13	Rawicz	Polska	118	"

(Dok. n.)

J. PODOSKI.



S Ł O N K I.

W drugiej połowie października, przy pięknej pogodzie, wybrałem się na polowanie, specjalnie na słonki w okolicę powiatowego miasteczka, u podnóża Karpat. Okolica ta słynęła z obfitego nalotu słonek, które, jak to wiadomo myśliwym, zatrzymują się i gromadzą u podnóża wysokich gór tak długo, dopóki nadchodząca zima nie zmusi ich do przelotu łańcucha górskiego na południową stronę. — Po przybyciu do miasteczka, dowiedziałem się od miejscowego myśliwego, w którego towarzystwie miałem polować. że w tym roku nalot słonek jest bardzo obfity. W dzień mego przybycia, wójt z niedalekiej wioski, doniósł memu towarzyszowi, że w jego gminie, na tak zwanych „zarynkach", przebywa bardzo wiele tych długodziobów. „Zarynki" są to nadbrzeżne szutrowiska podszyte przeważnie leszczyną i porosłe trawą. W czasie wezbrania wiosennego górskich rzek, bywają „zarynki" zalewane wodą, która osadza w krzakach żyzny namuł. Przed wypędzeniem bydła w połoniny na wiosnę i po spędzeniu z gór jesienią, pasą je na „zarynkach". W odchodach bydlęcych gnieżdżą się rozliczne robaki i owady, które stanowią ulubione pożywienie słonek. Z tego to powodu słonki w czasie przelotów najchętniej w takich miejscach

przebywają. Postanowiliśmy wyjechać z miasta w czas rano, najętą dorożką, do pewnej karczmy, od której należało przejść przez szeroki pas podmokłego torfowiska, porośniętego nikłym lasem, pełnego bezdennych jam i jeziorek, aby wyjść na cośkolwiek suchsze miejsca, tak zwane tu „łazy" to jest łąki porośnięte kępami drzew i krzaków, za którymi ciągnęły się już owe „zarinki" nad Swicą, będące celem naszej wyprawy.

Do wioski, która leżała po drugiej stronie rzeki, dorożką dojechać było niemożliwem, z powodu fatalnej drogi i licznych brodów zawalonych głazami. O godzinie 6-ej rano zajechała dorożka przed nasze mieszkanie. Byliśmy do jazdy gotowi. Dobrze nakarmione psy okazywały szaloną radość, widząc, że bierzemy ze ściany, wiszącą broń i wkładamy starannie wypchane torby myśliwskie na plecy. — W torbach jednak prócz naboi nic więcej nie było. Nie braliśmy z sobą prowiantów, licząc na to, że w karczmie dostaniemy jaj i bułek, a na późny obiad wrócimy do domu. Ranek był mglisty i dżdżysty, jak to zwykle jesienią w górach bywa, lecz należało się spodziewać, że dzień będzie pogodny, i co najważniejsze dla nas, bez silnego wiatru. — Bałaguła zaciął raźno konie i tęgim kłusem wyruszyliśmy w drogę. — Do karczmy mieliśmy półtorej godziny jazdy, dobrą szosą. Mgła zwolna jęła opadać i w połowie drogi ukazało się z po za lasów słońce. Przenikliwy chłód dżdżystego poranka rozpierzchł się pod wpływem promieni słonecznych i cudowny, jesienny dzień zawitał w całej krasie. Liście drzew w lesie mieniły się różnobarwnymi kolorami na tle ciemnej zieleni jodeł, a korale jarzębiny i kaliny, której tu pełno po lasach, barwiły jaskrawą purpurą szatę leśną. Liczne, pajęcze nici, nanizane drobnemi perłami rosy, tęczowymi festonami zwisały z gałęzi drzew przydrożnych. Jechaliśmy, pełni radości życia, pragnąc jaknajprędzej stanąć u celu. Przybywszy do karczmy, odesłaliśmy dorożkę z powrotem. Szynkarz miał nas swymi końmi odwieźć na wieczór do miasta. Tu dopiero wypiliśmy po szklance gorącego mleka z bułką, jako pierwsze śniadanie, zamawiając prócz tego kilka jaj gotowanych, oraz parę bułek na przekąskę w czasie odpoczynku na polowaniu.

Od karczmy do „Zarynków", gdzie miało być według relacji wójta, mnóstwo słonek, należało przebyć około dwóch kilometrów przez wspomniane torfowisko, a dostawszy się na „łazy", przez nie dojść do zarynków nad Świcą.

Towarzysz mój znał dokładnie tę okolicę i przejście przez torfowiska, porosłe karłowatą, schorzałą sośniną i jodłą, pełne bezdennych topieli, napełnionych wodą o kolorze mocnej herbaty. Mnogość tych jeziorek i wądołów, powstała wskutek pogorzeli torfów przed dawnymi czasy. Tylko bardzo świadomy tej okolicy mógł tamtędy się przedostać do brzegów Swicy. Żadnej, widocznej ścieżki tam nie było. Na torfowiskach mogliśmy natknąć się na stadko cietrzewi, których w tych stronach było dawniej wiele, lecz wtedy, gdyśmy tam przechodzili, już cietrzew był rzadkością, co głównie należało przypisać temu, że pastuchy wiejskie, ta największa plaga w gospodarstwie łowieckiem, wybierali jaja cietrzewi, gnieżdżących się po lasach, łazach i torfach. Dawniej gminy trzymały dwuch pastuchów, dziś dwie sztuki pasł jeden lub dwuch wyrostków. Dlatego coraz mniej wszelkiego ptactwa, któremu pastuchy niszczą gniazda.

Z gotową bronią do strzału szliśmy wolno przez torfy. Psy z boków buszowały i szukały zwierzyny. Przeszliśmy jednak przez torfowisko bez strzału. W „łazach", na które wstąpiliśmy, mogły być również cietrzewie, a z pewnością słonki. Łazy stanowią idealny teren do polowania na słonki z psem legawym. Rozległe te sianożęcia w pobliżu rzek zarastają niewielkie grupy drzew, krzewów i łozy. Psy, gdy wejdą w nie, wypłaszają ptaki, które muszą przelatywać wolne przestrzenie, dając dobry cel dla myśliwego. Jeżeli słonka uszła nietrafiona lub też bez strzału, to prawie zawsze można spostrzec, gdzie zapadła, i tam ją z psem znaleźć. Słonek jednak zaledwie



Na rykowisku w Karpatach. Nieregularny 16-tak.

dwie spotkaliśmy w łazach i te ubił celnymi strzałami mój towarzysz. Po godzinie wyjścia z karczmy, weszliśmy w końcu na „zarynki" i tu dopiero mogliśmy dać upust myśliwskiej żądzy. Gdy tylko psy weszły w dość gęste zarośla leszczynowe, poprzecinane ścieżkami, wydeptanemi przez pasące się bydło, słonki poczęły się zrywać po dwie i trzy naraz. Celne strzały były jednak bardzo trudne, gdyż wysokie krzaki leszczyny, na których liść w zupełności nie opadł, nie pozwalały dłużej jak na jedno mgnienie oka, widzieć wznoszącego się nad krzakami, ptaka. Potem słonka znikała, spuszczając się niżej.

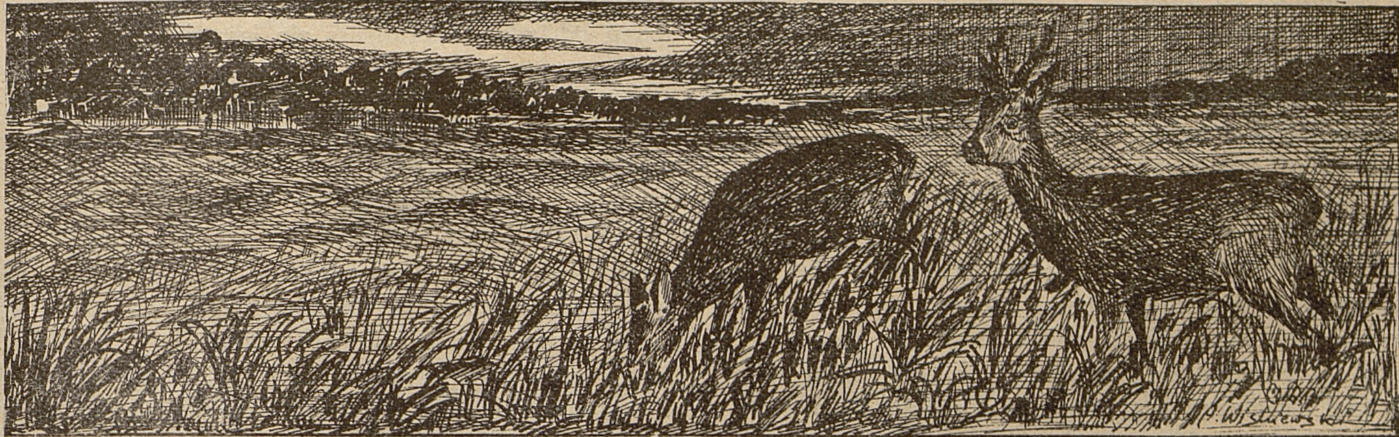
Wielką mitręgą było znalezienie ubitej. Psy, rozgorączkowane mnogością zwierzyny i ciągłą palbą, wyłamywały się z pod dyscypliny, i jak zwarjowane, biegały po krzakach, gubiąc się często w gąszczu. Do aportowania trudno je było zwołać. Szliśmy przed siebie, jak do ataku na bagnety, bez ładu i porządku, strzelając raz po raz i nawołując bezustannie: Pyf! Aport! Do nogi! Całą uwagę zwracało się głównie na to, by się nie postrzelić nawzajem, to też częste:

Hop! Hop! słychać było w gąszczach. Aby ochłonąć z myśliwskiej gorączki i odpocząć, postanowiliśmy zjeść drugie śniadanie i uporządkować ubitą zwierzynę, z którą nosić się w gąszczu było wielce niewygodnie. Wyszedłszy na słoneczną polankę, siedliśmy na trawie, posilając się skromnymi zapasami jadła, wziętymi rano w karczmie. Po spożyciu śniadania odczepiliśmy ubite słonki z troków i związawszy je w dwie wiązki, zawiesiliśmy na widocznem zdala drzewie. Jak się okazało, towarzysz mój miał dwanaście sztuk, ja miałem zaledwie siedem na dwadzieścia strzałów. W torbie pozostało mi nie więcej jak dziesięć ładunków z cienkim śrutem. Postanowiliśmy po śniadaniu polować oddzielnie, rozchodząc się w przeciwnych kierunkach, a przed wieczorem zejść się pod drzewem, na którem zostawiliśmy ubite ptaki. Zmęczone i rozhecowane psy ochłonęły również, a zjadłszy z apetytem po jednej bułce, były znów ochocze do dalszego polowania.

Teraz postanowiłem oszczędzać ładunki, by pobić rekord ustanowiony przez mego towarzysza lub dojść przynajmniej do dwunastu ubitych słonek. Ruszyłem powoli, oddalając się w przeciwnym kierunku od obranego przez towarzysza. Psa trzymałem w karbach i nie pozwalałem, by ginął mi z oczów. Przechodziliśmy teraz teren po raz drugi i słonek na nim nie pozostało wiele. Płoszone wprzód kilkakrotnie przez psy i strzały, wyniosły się dyskretnie w dalsze strony. Ubiłem jednak jeszcze cztery, a dwie znalazł pies poprzednio postrzelone. Miałem więc fatalną trzynastkę, której nigdy potem ani dorównać, ani przekroczyć nie mogłem. Była to najwyższa cyfra ubitych w jednym dniu słonek, jaką mogłem się kiedykolwiek poszczycić. Po pogodnym dniu jesiennym, jak to często w tej porze bywa, ni stąd ni zowąd, pojawiły się chmury; mgła z gór pędzona wiatrem, zasunęła się w doliny. Zmieniło się raptem i z dnia słonecznego zrobił się mglisty, zimny przedwieczór. W torbie nie miałem już ani jednego ładunku, zawróciłem więc śpiesznie, podążając do umówionego miejsca zboru, pod drzewem, na którem zostawiliśmy ubite słonki. Bałem się, by nie zbłądzić, co przy nagłem zachmurzeniu i mgle nie było trudnem. Obserwując jednak kierunek wiatru, z którym wyruszyłem, i mając go w plecy, posuwałem się teraz naprzód, zwrócony twarzą do wiatru, i wkrótce odnalazłem drzewo. Słonki wisiały na niem, lecz towarzysza swego przy drzewie nie zastałem. Zatrąbiłem na lufie sygnał zboru. Po kilkakrotnem powtórzeniu sygnału, doszedł mnie odzew. Po pewnym czasie zjawił się w końcu towarzysz, obarczony pięcioma ptakami. Miał ich więc razem siedemnaście sztuk, co jak mi oznajmił, było również jego najwyższą cyfrą, jaką mógł się dotąd poszczycić. Zadowoleni, ale głodni i pomęczeni, obarczeni ubitymi ptakami, ruszyliśmy z powrotem. Czas już po temu był najwyższy, bo przy chmurnym wieczorze we mgle, łatwo było zabłądzić.

Mając wyrobiony zmysł spostrzegawczy w terenie, zauważyłem po pewnym czasie, że nie idziemy tędy, którędy przyszliśmy. Gdy zwróciłem na to uwagę towarzyszowi, ten odpowiedział, że dla skrócenia drogi idziemy na przełaj przez „łazy", ale dojdziemy do torfowisk, do tego miejsca, z którego wyszliśmy na łazy zrana. Tymczasem zmierzch jesienny szybko mijał i ciemna noc roztaczała swe cienie. Doszliśmy w końcu do torfowiska. Z topieli i jeziorek dymiło, jak z kotłów. Mgła stawała się prawie dotykalną. Wstąpiwszy na granicę torfowiska, spostrzegłem, że towarzysz mój waha się i nie jest pewny drogi. To szedł naprzód, to skręcał na prawo i na lewo, szukając widocznie miejsca znanego sobie, w którem przejść można było bagnisko. Postępowałem wślad za nim, nie pytając go już o nic, by go tem nie stropić, choć teraz byłem pewny, że zmylił drogę i że zbłądziliśmy w bagnach. Pas torfowisk nie był szerszym nad kilometr, jak mi się rano zdawało. Czy w tym, czy w innym punkcie, można go będzie przejść ostrożnie, nawet po omacku, byle tylko znaleźć kierunek, w którym znajduje się szosa, a po niej łatwo już będzie dojść do karczmy. Lecz właśnie najgorszą rzeczą było w tej sprawie, że nie wiedzieliśmy teraz dokładnie, w której stronie znajduje się szosa. Nie było żadnego orjentacyjnego punktu, któregoby się trzymać było można. Wiatr ustał zupełnie, gwiazd widać nie było, bo niebo zakryły gęste chmury. Nadomiar złego, zaczęło „siąpić". Weszliśmy na torfy, jak do zimnej parni. Najmniejsze zboczenie w którąkolwiek stronę, niespostrzeżenie zrobione, spychało nas z obranego kierunku i zamiast iść prosto przed siebie, zataczaliśmy łuki, koła i gzygzaki. Parę razy omal nie wpadliśmy w topiel, co tylko temu zawdzięczać należało, że przed każdem jeziorkiem, zanim do wody dojść było można, grunt się pod nogami uginał i występowała, bulgocząc, woda. Był to znak ostrzegawczy i trzeba było pośpiesznie cofać się w tył, gdyż warstwa torfu i roślin mogła łatwo przerwać się, a wtedy stojący na niej, wpadłby w głębię. Zanim zdołałby wypłynąć na wierzch, przerwa w powłoce wierzchniej zrobiona zwarłaby się z powrotem, zamykając odwrót nieszczęsnemu. Najlepszy pływak nie poradziłby sobie w tym wypadku. W takich okolicach nieraz ginęli ludzie i śladu po nich odnaleźć nikt nie był w stanie. Chodząc tak po omacku, weszliśmy w końcu na jakiś suchszy i twardszy grunt, porosły lasem i krzewami. Stąd jednak, w którąkolwiek stronę ruszyliśmy, wszędzie trafialiśmy na trzęsawisko i jeziorka. Na ostatek nie mogliśmy w żaden sposób trafić na ślad, którym tu weszliśmy. Byliśmy więc zamknięci, jak ryby w więcierzu, bijące głowami w ściany sieci, a niemogące trafić na otwór, którym w sieci weszły. Stanęliśmy bezradni, nie wiedząc, co czynić i jak się wydostać z tej matni, w którąśmy samochcąc wleźli. Radziłem towarzyszowi, by nie próbować więcej odszukania wyjścia i dać za wygraną, bo gotowiśmy jeszcze potopić się w bagnie i ślad po nas zaginie. Czując, że na nim ciąży cała odpowiedzialność i że nocleg w zimnie i wilgoci nie jest miłą rzeczą, próbował towarzysz wołaniem i trąbieniem na lufie, sprowadzić skądkolwiek ludzką pomoc. Sądząc, że karczma musi być w pobliżu, miał nadzieję, że tam dojdą jego wołania, i karczmarz, który nas oczekuje, przyjdzie nam ze światłem i z ludźmi z pomocą. Po tym alarmie, który i psy podniosły, nie wiem z jakich powodów, wyjąc oba przeraźliwie, natężyliśmy wzrok i słuch, w nadziei, że usłyszymy wołania lub ujrzymy światła latarni. Iecz daremnie.

(Dok. n.). LEON STARKIEWICZ.



ŁOWY JESIENNE.

(ZE WSPOMNIEŃ MŁODEGO MYŚLIWEGO).

Nadeszła jesień, ta polska jesień, pełna uroku i czaru. Bo rzeczywiście piękną jest ona. Na dworze wiatr świszcze i wyje, gnając resztki zżółkłych liści spadających z ogołoconych już drzew. Na ziemi ściele się kobierzec złocisty, utkany z różnokolorowych resztek listków. Jakżeż pięknie wygląda cały świat w tej szacie jesiennej. Cała natura zasnęła jakby w tej ciszy i spokoju. Już nie odzywa się w gąszczu żaden głos ptasi, nie widać już uganiających się motylków, ani muszek, wszystko zamarło, — śpi. Jedynie szare wrony, krążąc po chmurnem niebie, kraczą, zwiastując zbliżającą się zimę. A jednak jakżeż przyjemny ten czas!

Korzystając z kilkudniowej przerwy w nauce, wybrałem się do swego kolegi, który zaprosił mnie do siebie na polowanie. Majątek „Lucień" w pow. Gostynińskim jest miejscem wspaniałem, gdzie zwierzyny jest dużo.

Siedząc w wagonie, z radością myślałem o nowych łowach, o nowych wrażeniach. Pociąg sunął, dygocąc, miarowym stukiem poprzez puste już pola, łąki i lasy, które stały smutne, pozbawione już swej świeżości i zieleni. Mimowoli ten ponury nastrój udzielał się człowiekowi; siedzieliśmy wszyscy posępni, patrząc na przesuwający się koło okien wagonu, krajobraz. Dopiero głos konduktora: Kutno! Kutno! wyrwał nas z tej zadumy i z uśmiechem na twarzach wsiedliśmy w czekające na nas auto. W kilkanaście minut potem dojeżdżaliśmy do pałacu p. Łysakowskiego.

Odrazu na następny dzień postanowiliśmy wyruszyć na łowy.

Rankiem z trudem dobudziłem się p. Zenona, towarzysza przygód myśliwskich, który nie mógł wyrwać się z objęć Morfeusza. Dopiero na widok dyskretnie zaglądającego przez roletę, słońca, wypuścił swe czcigodne nóżki z pod kołdry i rozpoczął wkładać swą garderobę. Po chwili wszyscy myśliwi odpowiednio przybrani, zjawili się na podwórku, gotowi do drogi.

Gorzej tylko było z przedstawicielami psiego rodu, gdyż było tylko jedno psisko i to o bardzo podejrzanym wyglądzie kundla. Bardzo również ciekawy okaz stanowiła dubeltówka p. Zenona. Prawdopodobnie pamiętała jeszcze czasy wojen napoleońskich. Właściciel jej twierdził jednak, że bije ona doskonale. Pogoda zapowiadała się ładna, jednak po chwili słońce się schowało, niebo pokryło szaremi chmurami i deszcz zaczął mżyć. Wszystko to nie odstraszyło jednak dzielnych myśliwców. Na dobitek niepowodzenia przeszła nam drogę stara baba. „Pokaż pan jej dwa palce i pluń trzy razy od uroku", — krzyczy kolega mój, Janek do p. Zenona. — „Będziesz pan dziurawił, ale powietrze", — śmieją się wszyscy. Rzeczywiście, nie miał szczęścia w tym dniu. Do pierwszego stada „kur" odrazu wygarnął z dwóch luf i... guzik. Potem zrobił trzecie pudło i wreszcie czwarte, klasyczne pudełko. Djabli nadali babę, to przez nią, tłumaczył się p. Zenon, ale w gruncie rzeczy trzeba przyznać, że w swojej karjerze myśliwskiej nie miał jeszcze szczęścia uśmiercić jakiejś zwierzyny. Podobno raz tylko, strzelając na podwórku do stada wróbli, zabił... koguta. Twierdził, że rykoszet od piasku.

— Czekajcie panowie, teraz to napewno coś ukatrupię, tylko włożę ładunki, które sam własnoręcznie robiłem. Są one pewniejsze, mówił, zbliżając się do psa, który stał w mocno podejrzanej co do swojej czynności postawie. — Dajcie mu spokój, niech sobie psina ulży — krzyczał Janek. Cicho, przecież widzisz pan, że wystawia, są kury. Okazało się, że rzeczywiście była to „wspaniała" stójka „Nera", który wreszcie zniecierpliwiony, sunął za kurami z podniesionym ogonem. Stojąc zdaleka, obserwowaliśmy wspaniały strzał p. Zenona. Z lufy wydobył się kłąb dymu, lecz zupełnie bez huku. Co to znaczy, czy pan u djabła gazem strzela? — Nie, tylko psiakrew widzicie panowie, zapomniałem wsypać prochu do naboi. — Acha! I śmiech nasz towarzyszył ciągle niefortunnemu strzelcowi, który miał dziś pecha.

Ściemniało się, gdy wracaliśmy do domu, chociaż trochę zmoknięci, jednak zadowoleni z dnia. Nie poszło bowiem tak źle, gdyż oprócz pechowego p. „Zencia", zabiliśmy razem 7 kur i dwie kaczki. Wróciwszy, zasiedliśmy do sutej kolacji, polując przytem na zwierzynę, ale z talerza, która zawsze jest pewniejsza. To już nie ucieknie, prawda, p. Zenonie? Dzień następny przepędziliśmy w domu, pałaszując owe kaczki. Janek zaś popijał wiśniaczek, twierdząc, że kaczka lubi pływać. Dopiero w niedzielę wybraliśmy

się furmanką na koziołka i króliki, do pobliskich lasów. Pogoda nam sprzyjała, słońce wyglądało radośnie, złocąc swymi promieniami całą naturę. Wszystkim zrobiło się weselej i w wybornych humorach wyruszyliśmy w drogę. Mając kilku gajowych jako naganiaczy, rozpoczęliśmy najpierw obławę na króliki. Już w pierwszym zakładzie położyliśmy pięciu tych przedstawicieli rodu królewskiego. Pan Zenon stał pod sosną i wzdychał do św. Huberta, aby mu dopomógł. Widocznie zlitował się nad nim, gdyż ku swemu zdumieniu ujrzał zbliżającego się nieprzyjaciela. I oto nagle las rozbrzmiał echem wystrzału i u nóg zwycięzcy legł wspaniały królik! — Brawo! krzyczeli wszyscy, przyjmując z entuzjazmem, wspaniały sukces dotychczas niefortunnego myśliwca, który oparłszy nogę na zdobyczy, z dumą rozglądał się dookoła. Koło jednego z większych zagajników myśliwi porozstawiali się, gajowi zaś weszli do środka, twierdząc, że napewno tu będzie kozioł. Mnie wypadło stanowisko na skrzyżowaniu dróg. Ładne miejsce, myślę sobie, jak co będzie lecieć, to prosto na mnie. Odbezpieczywszy więc flintę, oparłem się o drzewo, czekając cierpliwie. Po pewnej chwili słyszę zdaleka głosy: „Kozioł! Kozioł! Trzymaj go!" Ogarnęło mnie pewne zdenerwowanie; myślę sobie, trzeba się schować, żeby mnie nie zobaczył, klękam więc za jałowiec, — źle, nic nie widzę. I tak źle i tak niedobrze. Naraz słyszę wyraźny łoskot łamanych gałęzi. Teraz już nie wątpiłem, że leci. Trzymając palec na cynglu, słyszę koło siebie trzask i już mam strzelić, gdy nagle spojrzałem i o zgrozo! Zamiaśt kozła, leci, ale... krowa. Psiakrew i z waszym kozłem! Widocznie gajowi idąc, spłoszyli spokojnie pasące się krówsko, które przestraszone hałasem, powierzyło swe życie własnym nogom i drapnęło, nabawiając mnie takiego stracha. Prawdziwy zaś kozioł „zwiał".

Tak zakończył się pamiętny „dzień z kozłem". W przeddzień odjazdu wybraliśmy się jeszcze na „kury". Tym razem p. Zenonowi szczęście sprzyjało, gdyż uśmiercił po dwóch pudłach jedną „kurę". Doszliśmy do jeziora, gdzie rwało się dużo kuropatw, lecz niestety, nic im nie można było zrobić, gdyż dookoła rozciągało się torfowisko, na które nawet odważny „Nero" wahał się wypuścić. Janek zabił dwie kury i obydwie zgubił. Wszyscy więc zaczęli szukać. Panie Zenonie, rzekłem, chodźmy lepiej do zagajnika, może będzie kozioł, albo coś innego, gdyż nie warto tutaj czasu marnować, tembardziej, że deszcz kropi i chłodno jest stać na miejscu. Poszliśmy więc we dwójkę. Zagajnik był dość duży, więc szliśmy przez niego, idąc koło siebie. Przeszliśmy raz, — nic, tylko mnóstwo śladów wskazywało na niedawną wizytę kozłów.

— Uważaj pan, bo może coś być, a jak będzie co lecieć, to patrz pan, czy ma rogi; jak ma, to wal prosto w łeb. Dobra jest. Przewertowaliśmy już większą część obszaru, gdy naraz słyszę szelest i huk wystrzału. — „Kozioł, jak Boga kocham, kozioł, wal pan!" — ryczy p. Zenon. Oglądam się i widzę, jak dobrze postrzelony kozioł, usiłuje uciec. Walę więc raz i drugi. Po chwili u stóp naszych leżał wspaniały okaz. Dobrześmy się spisali, niema co — prawda? Zabiliśmy go razem, więc teraz dzielmy się — rzekłem. Pana ogon, moje rogi, a skóra na pół, dobrze? I w doskonałych humorach wracaliśmy do domu, taszcząc wspaniałą zdobycz. Wieczorem zaś wszyscy wzmacniali się „po jednym" na konto koziołka. Nazajutrz podziękowawszy za tak mile spędzony czas, udaliśmy się z powrotem do pracy. I tak wszystko przeszło, znikło jak jakiś ułudny sen, po którym pozostało tylko wspomnienie.

ZBIGNIEW WÓYCICKI.



Z ZAMOYSZCZYZNY.

Piszę tę słowa podekscytowany do ostatnich granic obietnicą podwyżki wierszowego, co Szanowna Redakcja uczyniła nader roztropnie — na czasie i na piśmie.

Odtąd postanawiam nie pisywać ani do narzeczonych, ani do przyjaciół. Żadnych, bezpłatnych świadczeń. Wszelka praca jest wtedy przyjemna, gdy jest pożyteczna i odwrotnie. Polecam p. t. Czytelnikom do codziennego użytku takie odwracalne — niby drabina — maksymy. Maksymy długotrwałe i wielostrzałowe, akurat jak przedwojenne gilzy metalowe, a tak solidne i nieprzemakalne, jak buty Nr. 43 od Marka — oby ten dzielny człowiek potrafił należycie ocenić rozpiętość powyższej reklamy. Piszę w najwyższej melancholji — niemal z dzwonnicy melancholji. Jest późna jesień — to raz. Wszystko kiśnie w beznadziejnie uporczywym deszczyku: humory, ziemia, obumarłe liście; wszystko się potyka, wlecze, ślizga, kicha i zanudza w błocie pod dziurawym parasolem lub bez takowego.

Powtóre, siedzę w mieszkaniu, które jest smętne, ciasne i drogie. W dodatku na górze pięćdziesięcioletni profesor matematyki uczy się śpiewu. Taki, zdawałoby się mądry i zrównoważony człowiek —

nawet myśliwy. Zapuścił farbowany włos i łazi bez kapelusza. Kto mu to wszystko doradził i w jakim celu?

Niepokoi mi psa, który nie znosi fałszu, i obniża wartość lokalu, oczywiście moralną.

Za mojem oknem roztacza się panowanie hetmańskiego grodu. W każdej z jego trzech bram winien przemieszkiwać na koszt magistratu, dyplomowany kustosz. Starożytność bowiem tego miasta poprostu uderza do głowy i kręci w nosie jak naftalina. A może dzieje się to wskutek nadmiaru żydów przygrzewanych słońcem na przepięknym, stylowym rynku.

Piszę tem chętniej, odkąd przekonałem się ponad wszelką wątpliwość, że w Zamościu mieszka tylko jeden prenumerator „Łowca P." — mianowicie ja sam. A nuż dzięki mojej korespondencji przybędzie drugi? Mam nawet pewną nadzieję, że nasze T-wo R. P. z okazji dziesięciolecia swego istnienia zdecyduje się na tak potężny wysiłek. Uzupełni w ten sposób jedyną lukę w swej wszechstronnej zabiegliwości. Bo pozatem wszystko jest już oddawna uchwalone i zaprotokułowane. A więc proszę posłuchać! Sprowadzanie zajęcy i kuropatw w celu regeneracji rasy i przekazania naszym dziatkom jakiego takiego zwierzostanu; dokarmianie tych miłych stworzeń i ochrona przed kłusownikami i wnykarzami, założenie bażantarni w parku miejskim i strzelnicy, ufundowanie ołtarza św. Hubertowi w miejscowym kościołku gimnazjalnym; kapelusze stosowane i oznaki dla członków T. R. P. (słonka w locie), hodowla rasowych wyżłów, puhacze... krykuchy... regulaminy... i — wyrażając się stylem inseratów pewnych domów handlowych wątpliwej konduity — „jeszcze 297 nader pożytecznych przedmiotów, których nie powinno braknąć w żadnem, szanującem się, rodzinnem ognisku", — uchwalaliśmy z rzadką solidarnością w ciągu ośmiu lat, a ponieważ wszystko się na świecie ostatecznie sprzykrzy, więc od dwóch lat nie zwołuje się zebrań i nic się nie uchwala. Ludzie mają trochę ambicji i unikają ciągłego powtarzania się — chyba, że chodzi o tak doniosłą rzecz, jak przedłużenie gatunku.

Z pewnem wzruszeniem wspominam ostatnie, gremjalne zebranie członków T. R. P. w roku pańskim bodaj 1928. Obfitowało ono w nowalijki — prawdopodobnie dlatego, że odbyło się w maju. Wtedy to dr. Prosper agitował gorąco za wprowadzeniem królików, za ochroną absolutną kun, lisów i, zdaje się, tchórzy, ginących bez ratunku. Tu zostałem olśniony trafnością odkrycia pewnego staruszka, który, spóźniwszy się na pociąg, nie mógł wyjechać z Zamościa i wskutek tego dał się namówić na zebranie; trzeba siać żarnowiec, inaczej nic z tego nie będzie!

I wszyscy z iście żywiołową jednomyślnością oświadczyli się za żarnowcem — zupełnie jakby osobiście stwierdzili pożywność tej rośliny. Tu i ówdzie sypały się wprawdzie przyciszone zapytania: „Co, u djabła, jest ów żarnowiec?" — ale nie osłabiło to efektu bynajmniej. Jednak proroczy umysł staruszka patrzył głębiej.. „Ale gdy kłusownicy dowiedzą się o tem, to wybiją na zasiadkę wszystkie zające. Bo że ściągną one z całej okolicy do żarnowca — to fakt!"

Dreszcz zgrozy ogarnął wszystkich. Słusznie. Do djabła z żarnowcem! Także coś! I żarnowiec przepadł. Tu właśnie młodociany adwokat podniósł w wolnych wnioskach nader drażliwą kwestję. Oto strzelano doń w dwóch bezpośrednio po sobie następujących miotach na polowaniu T-wa w Sitnie.

Co to jest? Czy T-wo jest o tem poinformowane i czy posiada środki przeciwdziałania? Bo jeden raz może się zdarzyć, ale dwa, to już wygląda na przesadę!

Domagał się przeto kategorycznie, aby takie ekscesy były zabronione, ewentualnie karane grzywną, — tu mecenas dał rzadki przykład ofiarności — na rzecz Towarzystwa.

Podobało się to zebranym. Każdy sobie przypomniał, ile to razy był celem dla bliźniego swego. I niżej podpisany byłby cięższy o dziesięć kilogramów śrutu, gdyby nie fakt, że wprawiali się na nim sami pudlarze, ludzie, którzy ani z premedytacją, ani niechcący nie byli w stanie trafić w cośkolwiek, wykluczając chyba atmosferę.

W trakcie przewlekłych debatów nad wysokością grzywny, zebrani zapomnieli o sprawie adwokata, tembardziej, że dr. Prosper wyjechał ze świeżym wnioskiem — opodatkować pudła, strzały celne i nawet chęć do strzału. Ale było już późno i wszyscy poszli do domu, krzepiąc się myślą, że gdyby nie ciężkie czasy, to pewne dezyderaty możnaby urzeczywistnić i temsamem popchnąć sprawy łowieckie na właściwe tory.

Niepodobna jednak odstraszać tych nielicznych członków, spiętrzając różnorodne trudności i obrzydzając im tak miłą rozrywkę, jaką jest polowanie.

To znów T-wo nic nie może zdziałać z powodu braku środków. Wzdychamy sobie zatem poczciwie w tem błędnem kółku i oczekujemy lepszych czasów, polując potrosze.

Coś jednak w owem dziesięcioleciu musiało się zmaterjalizować i stać się filarem oraz pociechą T-wa. Są to nasi delegaci i sklep T-wa z amunicją. Ale o tem potem.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

TERMINY OCHRONNE
USTANOWIONE DLA POSZCZEGÓLNYCH WOJEWÓDZTW.

WOJEWÓDZTWO	kozły	dz. kaczki	kuropatwy	zające	inna zwierzyna	
Pomorskie rozp. z dn. 29 grudnia 1930	od 1 stycznia do 31 maja i od 1 paźdz. do 31 grudnia	od 1 marca do 20 lipca	od 1 stycznia do 31 sierpnia i od 15 listop. do 31 grudnia	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Dzikie łabędzie: od 1 stycznia do 31 sierpnia i od 1 listop. do 31 grudnia	
Poznańskie rozp. z dn. 17 grudnia 1930	do 31 maja i od 1 paźdz.	—	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Bażanty-koguty od 1 lutego do 30 września	
Krakowskie rozp. z dn. 19 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 listop.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Lwowskie rozp. z dn. 12 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 listop.	—	do 15 września*) i od 1 listopada	od 1 lutego do 31 paźdz.	Jelenie-byki od 1 stycz. do 31 sierp. Bażanty-koguty cały rok. Dzikie gęsi: od 1 stycznia do 31 lipca	
Stanisławowskie rozp. z dn. 16 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 16 stycznia do 31 paźdz.		
Tarnopolskie rozp. z dn. 3 grudnia 1930	od 1 stycznia do 15 czerwca i od 1 listop. do 31 grudnia	od 15 marca do 1 sierpnia	do 15 września i od 1 listop	od 1 lutego do 31 paźdz.		
Warszawskie rozp. z dn. 29 listop. 1930	do 15 maja i od 1 listop	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Lubelskie rozp. z dn. 3 grudnia 1930	do 15 maja od 31 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Łódzkie rozp. z dn. 20 grudnia 1930	do 15 maja i od 1 listop.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Bażanty-koguty: od 1 lutego do 31 sierpnia i od 10 listop. do 31 grudnia	
Kieleckie rozp. z dn. 21 listop. 1930 r.	—	od 1 marca do 20 lipca	—	od 1 lutego do 31 paźdz.		
Białostockie rozp. z dn. 5 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Wileńskie rozp. z dn. 9 grudnia 1930	—	od 1 marca do 20 lipca	—	—	Bielaki od 1 lutego do 31 paźdz.	Dzikie kaczory i inne ptactwo wodne i błotne oprócz dz. łabędzi, dz. gęsi, słonek i bataljonów od 1 czerwca do 20 lipca.
Nowogródzkie rozp. z dn. 9 stycznia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	cały rok	od 1 lutego do 31 paźdz.	Bielaki od 1 lutego do 31 paźdz.	Łosie byki, dropie strepety i wiewiórki przez cały rok
Wołyńskie z dn. 6 grudnia 1929 i 2 stycznia 1930	—	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 1 lutego do 30 paźdz.		
Poleskie rozp. z dn. 22 grudnia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 15 stycznia do 31 paźdz.	Bataljony i dzikie kaczory od 15 maja do 20 lipca. Lisy od 1 marca do 15 listopada. Łosie byki i wiewiórki przez cały rok. Dropie i strepety — cały rok. Niedźwiedzie od 15 stycznia do 15 grudnia. Rysie od 15 lutego do 15 grudnia. Kuny leśne i norki od 1 paźdz. do 30 kwietn	

UWAGI: Pola z kreskami oznaczają normalny czas ochrony pg. ustawy.

*) Odnosi się tylko do pow. bóbreckiego, brzozowskiego, dobromilskiego, drohobyckiego, gródeckiego, jaworowskiego, krośnieńskiego, liskiego, lwowskiego, przemyskiego, rawskiego, rudeckiego, samborskiego, starosamborskiego, sanockiego, sokalskiego, strzyżowskiego i żółkiewskiego.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

—St.— Dnia 21 i 22 września 1931 r. odbyło się polowanie w 8 strzelb w Chełmie u pana Zbigniewa Wielowieyskiego, w którem uczestniczyli pp. Wojciech Michalski, Marjan Lasocki, Janusz Zdziechowski, Władysław Moes, Adam Morawski, Stanisław Kamocki, Adam Wielowieyski, Tadeusz Siemieński. Przy średniej pogodzie i bardzo silnym wietrze zabito 1051 kuropatw, 12 cietrzewi, 5 królików i 4 różne. Razem sztuk 1072, tylko pędzonych. Najwyższy, poszczególny rozkład był 226 sztuk, najniższy 38 sztuk. Polowanie prowadzone było bez zarzutu przez miejscowego leśniczego, pana Janickiego.

—zj— W dn. 30 września odbyło się polowanie na kury w maj. Branica, p. Władysława Rulikowskiego przy udziale 10 strzelb. Ubito 88 sztuk. Królował p. W. D. Dernałowicz. Stan kuropatw bardzo piękny, dzięki opiece właściciela i rozkład byłby znacznie większy, gdyby nie dżdżysta pogoda.

—m— W Rączkach (pow. Włoszczowski) u pp. Stefanostwa Grabowskich odbyło się dn. 2 września b. r. przy pięknej pogodzie polowanie, na którem w 14 strzelb ubito: 157 kuropatw, 11 królików i kota. Razem sztuk 169. Królem został p. Jan Jesieński, mając na rozkładzie sztuk 25.

Podczas polowania widziano duże ilości zajęcy i sporo sarn.

—sj— W dobrach Kobiele-Wielkie Jana i Izabelli Sobańskich odbyło się polowanie 14, 15, 16 września na pędzone kuropatwy, bażanty i króliki w 9 strzelb; padło ogółem: kuropatw 933, bażantów 44, cietrzewi 3, słonka 1, królików 302, ogółem 1,283 sztuki. W polowaniu brali udział: Ks. Zdzisław Lubomirski, ks Adam Sapieha, ks. Ksawery Drucki - Lubecki, senator E. Kurnatowski, hr. Adam Starzeński, hr. Roman Potocki, hr. Feliks Sobański, hrabina Izabella Sobańska, hr. Jan Sobański.

Największą ilość sztuk miał na rozkładzie p. senator E. Kurnatowski, t. j. 213.

ZAWODY MYŚLIWSKIE.

Dn. 27 września 1931 r. odbyły się w Ostrołęce staraniem Ostrołęckiego Towarzystwa Łowieckiego zawody myśliwsko - strzeleckie z programem następującym:

I 10 strzałów z broni małokalibrowej Przysposobienia Wojskowego na odległość 50 metrów.

II 10 strzałów do rzutków.

Pierwszą nagrodę, złoty medal pamiątkowy otrzymał p. Józef Bujakiewicz, drugą — srebrny medal pamiątkowy p. inż. Witold Jeziorowski, trzecią nagrodę, bronzowy medal p. Józef Kamień.

Zawody odbyły się w parku miejskim i na strzelnicy Przysposobienia Wojskowego.

Sędziami byli: p. rejent Juljan Jeziorowski, p. inż. Bronisław Bronikowski i p. Kazimierz Piotrowski.

IGN. IGLIKOWSKI.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Antoni Biberstein-Błoński, długoletni członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i delegat powiatowy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na powiat Radziechowski, emerytowany zarządzca lasów, zmarł w Nowostawcach. Cześć Jego pamięci!

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— **Wypadek na polowaniu.**—W uzupełnieniu wiadomości podanej w Nr. 40 „Ł. P.", zaznaczamy, że Józef Stelmaszczyk, naganiacz, został usunięty z naganki za niesforne zachowywanie się. Podczas jednego z pędzeń, bez wiedzy leśnych, którzy naganką prowadzili, skrył się pod krzakiem między linją myśliwych a naganką. W pewnej chwili podczas strzelania myśliwych został obsypany śrutem, bez uszkodzenia ciała.

— **Wystawa zwierząt futerkowych.** Zarząd Związku Hodowców Zwierząt Futerkowych zdecydował zorganizować specjalną wystawę zwierząt futerkowych w Warszawie w dniach 7, 8 i 9 listopada r. b. Na wystawie będzie zorganizowany pokaz lisów srebrzystych, nutryj, norek, szopów, skunksów, piżmowców i t. p., nadto będzie duży dział królików i kotów rasowych. Wystawa odbędzie się w gmachu wystawowym przy ul. Bagatela Nr. 3.

— **Ogród zoologiczny w Poznaniu** powiększył się 4 tygrysiątkami, które musiano odebrać matce, a oddać na wychowanie wilczycy. Obecnie Zoolog posiada 2 stare i 8 młodych tygrysów. Wobec tego, że tygrysica wydała w jednym roku 2 pomioty po 4 młode, ustaliła ona w tym kierunku rekord światowy.

— **Obfitość bizonów.** Zarząd Parku Narodowego Yellow - Stone National Park zwrócił się do gubernatora stanu Montana, z propozycją ofiarowania 50 bizonów na rzecz głodującej ludności farmeńskiej w tym Stanie. Mięso ich jest bardzo smaczne, a bizony w parku Yellow - Stone tak szybko się mnożą, że zarząd chce pozbyć się niepotrzebnej nadwyżki.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Futra rosyjskie.** — Niebezpieczny dumping rosyjski zaniepokoił futrzane rynki zbytu. Rosja była zawsze i nadal na długo pozostanie producentem i eksporterem szlachetnych futer. Brak tego towaru przez dłuższy czas dawał się dotkliwie we znaki i spowodował śrubowanie cen na giełdzie w Londynie. Niespodziewane rzucenie przez Sowiety futer poniżej własnych kosztów produkcji spowodowało ogólny zamęt. Spadek cen futer zrujnował warsztaty pracy kuśnierskiej.

Wprawdzie obecnie ceny podniosły się, za to spadła niebywale siła nabywcza klienteli tak dalece, że mimo pełnego właściwie już sezonu, obroty są minimalne.

— **Handel piórami.** — Po okropnym zastoju w tej gałęzi handlu, obecnie powróciła moda ozdabiania strojów kobiecych piórami. W ciągu dwóch miesięcy na rynku piór w Stanach Zjednoczonych ujawniła się zwyżka gwałtowna. Pióra strusie, na które tak długo nie było amatorek, że w końcu darto je i sprzedawano do wypychania niemi poduszek, po 15 dolarów za funt, podskoczyły w cenie do 50 i 60 dolarów za funt, a hodowcy strusiów w Afryce Południowej, w Kalifornji, na Florydzie, w Algierze, Egipcie i na Riwierze francuskiej, zmuszeni w ciągu lat chudych do wybijania hodowanych ptaków, gdyż nie opłacały się koszty ich utrzymania, dziś biorą się znów energicznie do wznowienia hodowli cennych ptaków, których liczba wskutek zastoju na rynku piór zmniejszyła się tak znacznie, że naprzykład z miljona strusi hodowlanych w 1925 r. na farmach Afryki Południowej, pozostało dziś zaledwie 25.000. A że czekać trzeba rok cały, aby struś zaczął dować pióra zdatne do handlu, nieprędko więc będzie można zadośćuczynić zapotrzebowaniu na pióra strusie, które tak nagle powróciły do mody. Takie samo zapotrzebowanie dało się odczuć na pióra innych ptaków. Wyjątek stanowią tylko gęsi.

KORESPONDENCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE.

Zwracam się do Szanownego Pana z prośbą o wyjaśnienie w formie odpowiedzi ogłoszonej drukiem, czy niema w Polsce zakładu krawieckiego, któryby wyrabiałby praktyczne, lekkie i obmyślone w kroju, kurtki myśliwskie, dotychczas bowiem pomimo poszukiwań — nie udało mi się znaleźć takich ubiorów sportowych, jakie np. posiada zagranica.

Przepraszając Szanownego Pana Redaktora za absorbowanie cennego czasu, kreślę się

wyrazami głębokiego poważania

TADEUSZ ŚWIDERSKI,
maj. Niedziów, pow. Lidzki

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPANU Inż. BOLESŁAWOWI MARCZEWSKIEMU.

Na zapytanie WPana Inżyniera możemy skierować Go z całem zaufaniem do przeprowadzenia tranzakcji zamiany posiadanej broni na inną w następujących firmach warszawskich: Warszawska Spółka Myśliwska ul. Królewska 17, J. Sosnowski ul. Ossolińskich Nr. 1, H. Sawicki i S. Czerski ul. Królewska 31 i „Łowiec" ul. Widok 22.

WPAN WITOLD BRZEZIŃSKI
poczta Dubno, woj. Wołyńskie.

Odpowiadając na zapytanie skierowane do Redakcji i pragnąc jednocześnie polecić WPanu warsztat szewcki, który może zadowolić najwybredniejsze pod każdym względem wymagania, wybraliśmy firmy: Jakób Marek ul. Bielańska 22 i S. Hiszpański ul. Krak.-Przedmieście 7.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P."**:

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. **2) „Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3.60 zł. **„Kruk"** — 4.50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwie-rzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15